

— Proszę cię, moja kochana... skończ już tą rozmowę i powracajmy do salonu.

— Wracajmy, skoro sobie tego życzysz — odparła — ale wyznać ci muszę, że to, co usłyszałam teraz, tak mnie nieprzyjemnie przejęło, że pragnę jak najprędzej znaleźć się w domu.

— A więc pożegnasz się z pułkownikiem i odprowadzę cię do twojego powozu...

— Ale ty sam, baronie?

— Oh! Ja pozostanę jeszcze! Ta sytuacja staje się nie do zniesienia i muszę się dowiedzieć wszystkiego — odparł baron porywczo.

— Pan zostaje? — odezwał się Leduc z zaniepokojeniem. — Nie powinien pan tego czynić!

— Dlaczego? — zapytał baron, patrząc wyniośle na starego archiwistę.

— Nie powinien pan tu dłużej pozostawać — powtórzył Leduc. — Zarówno dla swojego, jak i pani bezpieczeństwa. Nie chciałbym, aby się pan spotkał z tym człowiekiem...

— Czy sądzi pan, że się go lękam? — odparł ironicznie baron d'Esclairs.

— Nie myślałem o tym wcale, zaręczam panu, ale uważam, że ostrożność wymaga tego...

— Ah! Już dosyć, mój panie! Dosyć! — przerwał żywo baron. — Pan radzi mi uciec się do ostrożności, która podobna raczej do tchórzstwa i podłości!

— Jak się panu podoba — odpowiedział poważnie Cyprian Leduc. — Uważałem za obowiązek ostrzedz pana barona.

— Czy pan nie ma mi już nic więcej do powiedzenia?

— Nie, panie baronie.

— Do widzenia więc, panie Leduc — rzekł baron, wychodząc. — Mam nadzieję, że zobaczymy się, ale wtedy, kiedy pan zdecyduje się być jaśniejszym i mniej skąpym w słowach.

Stary archiwista chwilę patrzył za odchodzącymi, wkońcu wzruszył ramionami i wyszedł powoli za nimi.

ROZDZIAŁ XVI.

Baron d'Esclairs i Olivia długą chwilę przebiegali salony, zanim spotkać zdołali pułkownika Robert.

Jak tylko ten ostatni ich dostrzegł, podszedł do nich żywo z rozpromienioną twarzą i błyszczącymi oczami.

— Ah! Szukałem was właśnie! — zawołał z serdeczną prostotą. — Dopytywałem się wszędzie o was i zacząłem już się niepokoić waszym nagłym zniknięciem.

— Olivia była cokolwiek zmęczona i cierpiąca! — odparł baron niechętnie. — Szukaliśmy właśnie pana, aby się pożegnać.

— Odjeżdżacie już?

— Oh! Ja pozostaję jeszcze! — odpowiedział stanowczo baron. — Odprowadzę tylko Olivię do powozu i powracam natychmiast.

— A to doskonale! — zawołał wesoło pułkownik Robert. — Ale wybacz pan mojej szczerości, kochany baronie, jeżeli powiem, że chodzi mi głównie o obecność pani Olivii! Pragnę bardzo, aby pozostała jeszcze z moimi gośćmi.

— Niech pan nie nalega! — szepnęła młoda kobieta.

— No, dobrze! Dobrze! Skoro inaczej być nie może, muszę się z tem zgodzić. Ale pozwól mi pani, że zastąpię barona, bo nie chcę, aby mi wydarł te ostatnie chwile miłego towarzysztwa pani! — dodał pułkownik, patrząc gorąco w oczy Olivii.

— Pan naprawdę tego pragnie?

— Błagam panią, nie odmawiaj mi tej drobnostki! — rzekł pułkownik, ściskając jej rękę.

— Niechże więc tak będzie! — odparła młoda kobieta, ujmując ramię pułkownika — Jesteś wolny, baronie, możesz powracać do salonu i korzystać z dalszej zabawy.

Baron skłonił się z uśmiechem, a Olivia, wsparta na ramieniu gospodarza domu, skierowała się do głównego wyjścia.

— Czy byłbym na tyle szczęśliwy, aby mój wzburzyć zazdrość w baronie? — szepnął po chwili pułkownik Robert, pochylając się ku swojej towarzysze.

— Oh! to niemożliwe! — odpowiedziała młoda kobieta, uśmiechając się lekko.

— Pani nie zechce mnie nigdy pokochać?

— Nie mogę!

— Pani jest zanadto okrutna doprawdy!

— Niech pan powie, że jestem tylko ostrożna... toby było słuszniejsze... bo, gdyby baron domyślił się kiedy...

— Czego się pani obawia? — zapytał pułkownik, gorąco ściskając rękę Olivii.

— Baron jest bardzo niebezpiecznym współzawodnikiem. Uchodzi za najlepszego fechtmistrza w całym Paryżu. Czy nie powinnam być wobec tego ostrożną?

— Czyżby się pani naprawdę lękała o mnie?

— A gdyby tak było? Coby pan na to powiedział? — rzuciła wyzywająco młoda kobieta.

— Jeżeli tak jest — podjął gorąco pułkownik po chwili milczenia — zaręczam pani, że ta zdolność barona w niczem na mnie wpłynąć nie może. Chętnie pokażę mu, jak w Indyach używa się ostrej broni.

Olivia zadrżała i odsunęła się od niego mimowolnym ruchem.

— Widzi więc pan — rzekła zmienionym głosem — że mam słuszne powody do obawiania się. Pan jest strasznym człowiekiem!

— Niech pani nie odbiera ostatniej nadziei — szepnął nalegająco pułkownik.

— Proszę zatem uspokoić się i nie przerażać mnie w ten sposób.

— Dobrze! Postaram się o to. Ale ja jeszcze panią zobaczę, nieprawdaż? Przysięka mi to pani?

Doszli już byli do ostatniego stopnia schodów peronu, przed którym oczekiwał powóz Olivii.

— Przysięka mi pani? — powtórzył dziwnym głosem pułkownik, ujmując dłoń młodej kobiety i ściskając ją silnie.

Olivia w tej chwili wydała lekki okrzyk.

— Co pani się stało? — zapytał niespokojnie pułkownik.

— Uściskał mnie pan tak mocno, że uczułam ból w ręce — odpowiedziała Olivia. — To ten pierścień pana winien wszystkiemu.

— Oh! Najmocniej panią przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Ale to już przeszło, prawda?... Olivio! Czekam na odpowiedź — powiedz mi, że wkrótce zawezwie mnie pani do siebie...

— Ah! Nie mówmy już o tem! — zachnęła się niecierpliwie młoda kobieta. — Nie jestem w stanie dać panu żadnej odpowiedzi... Nigdy jeszcze nie odczułam coś podobnego... Żegnaj panu!

— Niel... Nie... do widzenia... do jutra...

Olivia nie słyszała już ostatnich słów pułkownika. Szybko wskoczyła do powozu i zatrzasnęła drzwiczki i wkrótce ekwipaż zniknął na zakręcie alei.

Pułkownik pozostał chwilę jeszcze na peronie, jak gdyby zatopiony w ważnej jakiejś myśli, poczem otrząsnął się nagle z zamyślenia i skierował się do powrotu.

— Doskonale! Doskonale idzie! — uśmiechnął się ironicznie. — Z tą już sprawa załatwiona, teraz muszę czuwać, aby mi tamten nie umknął.

Tymczasem w willi czyniono już przygotowania do kolacji. Goście zawezwani szli tłumnie ku pokojom, gdzie oczekiwali stoły, zastawione wytwornymi potrawami, a około których kręciła się służba w liberyach o świecących guzikach, z uprzejmym ukłonem wskazująca każdemu miejsce przeznaczone. Gwaro tu było i wesoło. Niczem niepowstrzymana wesołość i swoboda rozweselała twarze wszystkich gości, wywoływała głośnie wybuchy śmiechu kobiet, zachęcała do rozmów poufnych i gorących.

Po sali rozlegał się teraz brzęk talerzy i kryształów, a do dusznej atmosfery, przesyconej perfumami różnorodnymi, mieszał się zapach mięsów wyszukanych i wina musującego w szklankach.

Baron d'Esclairs, otoczony znajomymi, opowiadał po raz dziesiąty może wydarzenie, zaszłe w ministerium marynarki, wypijając niezliczoną ilość szklanek szampana, które w sposób bardzo gwałtowny działały na jego żywe i nerwowe usposobienie.

Silne podrażnienie malowało się w jego ruchach i twarzy, oczy błyszczały wyzywająco i widać było, że gotów był o najmniejsze, bardziej drażliwe słowo wywołać kłótnię. Ale nikt z obecnych nie zdradzał ochoły dotrzymania mu placu, bo sława jego zwycięskich pojedynków aż nadto wszystkim była znana.

W pewnej chwili, pułkownik Robert, który czuwał nad porządkiem w sali, jako troskliwy i uprzejmy gospodarz domu, przeszedł obok barona.

Spojrzenia ich zmierzyły się ostro. Jednakże pułkownik zgasił prędko płomień, wybiegający mu z oczu i uśmiechnął się lekko.

Uśmiech ten, złośliwy i pełny ukrytej ironii, dawał wrażenie obelgi.

Baron d'Esclairs zadrżał, jak gdyby mu kto wymierzył policzek.

W pierwszej chwili zdziwienie było tak silne, że odebrało mu przytomność umysłu. Czyżby się jednak mylił? Ale nie, zrozumiał przecież dobrze obelżywą intencję tego spojrzenia i uśmiechu.

— No i cóż, baronie? — odezwał się swobodnie pułkownik. — Sądzę, że zapomniał pan już o tem dziwnym zajściu w ministerium marynarki? Eh! Co znów! Herb pana nie potrzebuje jeszcze ozłocenia i te nędznych kilka milionów jakiegoś awanturnika nie mogą wpłynąć na sławę i znaczenie pana.

Słowa te były wypowiedziane tak gryzącym tonem i podkreślone spojrzeniem rozmyślnie zuchwałem i prowokującym, że baron d'Esclairs nie mógł powstrzymać gniewnego zakłęcia i pochwycił brutalnie ramię mówiącego.

— Pułkowniku! — zawołał głosem, drżącym od wściekłości — jak widzę, stał się pan nagle dziwnie złośliwym i ironicznym i mojem zdaniem, herb mój tutaj nie ma nic do czynienia...

— Jestem tego samego zdania, kochany baronie — odparł zimno pułkownik.

— Ale mówi pan to takim tonem — unosił się dalej baron d'Esclairs.

— Który się panu nie podoba?

— Oczywiście.

Początek tego starcia zadziwił niemało gości, zebranych w tej części sali jadalnej. Zapanowało nagle milczenie i wszyscy spoglądali po sobie, zdumieni i zaciekawieni zarazem.

Pomiędzy gośćmi znajdowały się dwie osoby, które chciwiej jeszcze śledziły zapowiadającą się sprzeczkę, starając się zbliżyć jak najwięcej do barona d'Esclairs i gospodarza domu. Byli to obydwaj czarodzieje w maskach na twarzy.

Cyprian Leduc stanął tuż za plecami barona, drugi zaś przysunął się do pułkownika.

— Raz jeszcze ostrzegam pana! — szepnął stary archiwista, nachylając się nad baronem — Niech pan zapanuje nad sobą! Ta kłótnia do niczego dobrego doprowadzić nie może!

— Niech pan nie przecenia tego wydarzenia. — rzekł drugi czarodziej do ucha pułkownika.

Ale obydwaj przeciwnicy tak byli zajęci sobą, że nie zwracali najmniejszej uwagi na te ostrzeżenia.

Pułkownik wyniośle wzruszył ramionami i podszedł bliżej jeszcze do barona.

— Ah! Kochany baronie! — zawołał tym samym ironicznym tonem — Naprawdę, rozpaczoną będę, jeżeli panu sprawiłem przykrość. Ale zdaje mi się, że szampan zaciemnił cokolwiek umysł pana i jutro będzie pan zmuszony przyznać się do winy!

— Jutro... do winy... ja... — powtórzył d'Esclairs z wybuchem wściekłości.

— A przylem — ciągnął dalej pułkownik Robert spokojnie — czyż kłótnia pomiędzy nami powinna mieć miejsce? Niema nawet o czem mówić. Spotkaliśmy się już raz przypadkowo ze szpadą w ręku i baron wie dobrze, że niechętnie przystąpiłbym z nim do walki — nieprawdaż baronie?

Ażeby opisać to, co się działo w wzburzonym umyśle barona, trzeba by wiernie oddać zuchwały i wyzywający ton, podkreślający każde słowo pułkownika. Głos był pozornie spokojny ale usta składały się w grymas pogardliwy, a spojrzenie błyszczało groźbą. Rzeczy można, że pułkownik rozmyślnie starał się sugerować swojego przeciwnika i nigdy jeszcze może d'Esclairs nie odczuł tak przykrego wrażenia, jak w tej chwili.

— Dosyć już! — zawołał, wychodząc zupełnie z równowagi — Dosyć już pułkowniku! Być może, że jestem pijany, jak to pan łaskawie twierdzi, ale, dzięki Bogu, umiem jeszcze zrozumieć intencje pana. Pan chce pojedynku ze mną — czy tak?

— Ja? — zdziwił się pułkownik Robert, patrząc z uśmiechem na przeciwnika.

— Wie pan jednakże, że nie jestem człowiekiem, który się cofa w takiej okoliczności.

— Zapewne!

— I jeżeli zechce, to jutro, mój panie... — wyrzekł silnym głosem d'Esclairs.

Pułkownik powstrzymał go ruchem ręki.

(Ciąg dalszy nastąpi)